

KOLEJARZE.

Powleść na tle stosunków kolejowych

napisał

ARTUR GRUSZECKI.

(Ciąg dalszy).

Mijał jednak jeden dzień i drugi, a Stański milczał. Trzeciego dnia, nie mogąc go spotkać, napisała bilecik pozostawiony bez odpowiedzi. To ją zaniepokoiło, a gdy spotkała Stańskiego, ten zbył jej pytania lakonicznymi słowami:

— Są trudności i przeszkody, zaczekajcie... może się uda.

Janinę opanowało zniechęcenie i poczęła tracić wiarę w możliwość powodzenia. Z poprzedniego podniecenia wpadła w apatię i najchętniej usunęłaby się gdzieś zdala od domu, ludzi, a zwłaszcza biura. I właśnie, jak gdyby na przekór, naczelnik zadowolony z poprzedniej jej spiesznej i dobrej roboty, powiększył ilość „kawałków“, które miała odrobić, a spostrzegłszy pewną opieszałość robił zgryźliwe uwagi. Zażądał pewnego referatu, a gdy Janina powiedziała, że jeszcze nie gotowy, rzekł:

— Kilka dni pracowała pani dość dobrze, a teraz zamiast roboty marzenia — uśmiechnął się drwiąco — zostaw je pani w domu, a w biurze pracuj pani. Następnie zwrócił się do Borskiego z zapytaniem: Kiedyż skończymy? — westchnął, wskazując na plik aktów.

— Kiedy?... Nie wiem panie naczelniku, bo robimy za inne wydziały.

— Inny wydział, czy nie inny — mówił podrażnionym głosem — skoro przyjdzie akt do naszego biura, musi być zrobiony.

— Śmieją się z nas, że za nich odrabiamy — mruknął Borski.

— Nic mnie to nie obchodzi i takich wiadomości nie potrzebuję — i powiedziawszy to wyszedł do swego pokoju.

— Naszą pracę chce się dorobić awansu — szepnął Wilmański.

I pracowali. Ze wszystkich kątów biura, z półek, z papierów wyglądała nuda i przymus pracy. Unosiła się w powietrzu, przytłaczała piszących, przeszkadzała w pracy, przygaszała oczy. Borski pracował jak koń włożony do chodzenia w kieracie. Odrabiał „kawałek“ jeden po drugim, a czekał cierpliwie trzeciej godziny, godziny wypragnięcia i wyzwolenia. Naczelnik grupy pracował z gorączkowym pośpiechem, kluty nieustannie ostrogą możliwego awansu, ale Wilmański, ale Janina odczuwali całą czczość, nudę i gwałt zadawany przez pracę przymusową. Ileż razy Janina odkładała pióro, mrużąc do siebie: nie, nie mogę dłużej i siedziała cicho, patrząc bezmyślnie na pokój, w którym unosiły się niebieskawe pasemka dymu tytoniowego, a w promieniach słońca, wpadających przez brudne szyby, błyszczał pył wznoszący się przy każdym poruszeniu aktów biurowych. W pokoju przy zamkniętych oknach, z dymem cygar i papierosów, z kwaskowatą wonią foliów, atmosfera była ciężka, mdła, dusząca. A na dworze z pogodnego nieba lśniło słońce, odzywał się świątobliwy ptactwa, dzwoniły w brudne szyby owady, tam była wiosna, życie, ruch, a w zatęchłym biurze nuda, martwota i przymus.

Że też ludzie męczą się tak dobrowolnie, rozmyślała Janina, gdy mogłoby wszystkim być dobrze, rozkosznie, szczęśliwie, aby tylko wszyscy zechcieli zmienić warunki bytu kapitalistycznego na socjalne. I ten Borski zapracowany, przytłoczony troską rodzinną i ten naczelnik zameczający siebie i drugich pracą nad siły, odetchnęliby obaj, spojrzeliby z radosnym uśmiechem na świat, na życie...

W tem wszedł naczelnik i stanawszy w progu spojrzął złemi, niespokojnymi oczyma. Zdawało się Janinie, że ze szczególną złośliwością przyglądał się jej bezczynności. To też jak pod uderzeniem bata wyprostowała się w krzesło i zajęła się pisaniami. I znów minęło dwa dni męczących, jednostajnych.

Nareszcie jednego ranka wszedł Stański do biura. Z twarzy rozjaśnionej poznała Janina, że przychodzi z dobrą wieścią. Z gorączkową niecierpliwością czekała jego słów, a Stański przesyłając jej uśmiechem i spojrzeniem uspokojenie, witał się z kolegami, a upewniwszy się, że naczelnika nie było na razie w przyległym pokoju, rzekł swobodnym głosem:

— Wysyłamy dziś deputację do pana inspektora Kulińskiego, może pani w imieniu manipulantek weźmie w niej udział.

Oczy jego powiedziały jej, aby przyjęła, co też uczyniła.

— Jeśli trzeba, jestem gotowa.

— W takim razie proszę panią, deputacja czeka.

— Jaka? o co? — zawołał Wilmański.

— Cóż to nowego? — odwrócił się Borski zdziwiony.

— Wytlómaczę panom później. Chodźmy — zwrócił się do Janiny.

Gdy wyszli na kurytarz, uśmiechnięty Stański szeptał:

— Udało mi się nareszcie pozyskać do komitetu zwołującego trzech urzędników. Jeden z ruchu, dwóch z dyrekcji, wy czwarta, idą do inspektora.

— Cóż mam mówić? — spytała.

— Na razie nic — odpowiedział i przedstawił ją dwom młodszym panom i jednemu starszemu, który spojrzawszy bacznie na Janinę rzekł:

— Jesteśmy w komplecie.

Szli kurytarzem pierwszego piętra, a doszedłszy do miejsca, gdzie mieszczą się pokoje właściwej dyrekcji, zwolnili kroku, stąpali ostrożnie, oglądając się z pewną obawą wokoło.

Gierlicz, prowadzący deputację, zapytał uprzejmie woźnego, czy pan inspektor Kuliński w biurze, a otrzymawszy potwierdzającą odpowiedź wysłał woźnego z uwiadomieniem, że deputacja urzędników chciałaby z nim pomówić.

Woźny nie bez zdziwienia spojrzął po obecnych i w milczeniu poszedł zaanonsować.

Czekali w kurytarzu, a po niespokojnych spojrzeniach i ruchach widać było dręczącą ich niepewność. Zjawił się woźny i zostawiając drzwi otworem, rzekł głośno:

— Pan inspektor prosi.

Gierlicz szybko zdjął kapelusz, ręką otarł łysinę, musnął wielkie blond wąsy, odchrząknął, spojrzął na towarzyszy i cichymi krokami wszedł do pokoju inspektora.

Za biurkiem szafkowym, zawałonem papierami, siedział niemłody, łysawy, niewyraźny blondyn, który gładząc maleńkie faworyty patrzył badawczo na wchodzących.

Na ich bardzo niskie ukłony, połączone ze szuraniem butów, skłonił się lekko, i wydymając górną, wygoloną wargę rzekł tonem urzędowym:

— O co idzie?

Gierlicz znów zgiął się wpół, leciutko chrząknął i mówił tonem pokornym i uprzejmym:

— Wiadomo zapewne panu inspektorowi, że nasze położenie materialne nie należy do najlepszych — a widząc chmurę na czole dygnitarza pospieszył — nie jest to winą rządu, lecz drożyzny i różnych przypadków życiowych — odetchnął głęboko.

— Cóż ja na to poradzę? — odezwał się obojętnie inspektor.

— Właśnie w tej sprawie przyszliśmy do pana inspektora... Tylko pomoc własna, tylko wspólne siły mogą nam, kolejarzom, przynieść ulgę pewną... Otóż umyśliśmy założyć kasę zaliczkowo-oszczędnościową, która by w chwilach ciężkich była nam pomocą...

— Macie przecież panowie pensję, a w razie niezwyklej potrzeby kasę pożyczkową — przerwał mu dygnitarz — po cóż wprowadzać jakieś nowinki?

— Pan inspektor ma zupełną słuszość — skłonił się Gierlicz — ale nam idzie o utworzenie okręgowej kasy, w obrębie naszej dyrekcji. Pożyczki udzielane będą minimalnie oprocentowane i obejdzie się bez pisaniny, prośb, zwłok...

— Hm... jeśli panowie chcecie, to zakładajcie sami, o ile pan dyrektor się nie sprzeciwi, ale cóż ja mam z tem wspólnego?

— Znajac działalność społeczną i ofiarność pana inspektora, jak również niestrudzoną pracowitość, jesteśmy przekonani, że kasa nasza świetnie się rozwinie jedynie pod protektoratem pana inspektora, i z tego powodu wysłano nas, jako delegację do pana nadrevidenta.

Dygnitarz uśmiechnął się łaskawie, podobało mu się i pochlebstwo i prośba. Bez studyów prawnych i technicznych doszedł do szóstej rangi. Wiedział, że na tem stanowisku kończy się jego kariery urzędnicza i nie mogąc zadowolić swej ambicji na tem polu, pożądał odznaczenia wśród ogółu tytułem ładnie brzmiącym i wywieraniem wpływu. W uszach zabrzmiał mu tytuł: „prezes“, i słowo to coraz bardziej stawało się muzykalnym i piękniejszym. Słyszał je ze wszech stron, widział wydrukowane w dziennikach, umieszczone na ładnym bilecie wizytowym.

„Prezes!“ — prześliczne słowo, ale... wypada się

podrożyć, tak dla samej przyzwoitości, więc odpowiedział:

— Cieszy mnie bardzo zaufanie panów urzędników... tak, to zaszczyt... jednak są inni, godniejsi moim zdaniem... radzę panom udać się do nich, bo prawdę powiedziawszy mam pracy cały nadmiar i obawiam się, że będę przeciążony...

— Ależ panie inspektorze — zawołał z mocą Gierlicz — pan posiada pełne nasze zaufanie, a znane uczucia obywatelskie pana inspektora nie pozwolą mu odrzucić naszej prośby.

W tem nagle w mózgu inspektora przebiegła, jak błyskawica, myśl, że podobna kasa może się niepodobać panu dyrektorowi, a tem samem i on obniży się w jego oczach. Leciutki dreszcz obawy go przeszedł i już postanowił odmówić, lecz z drugiej strony to słowo „prezes“ takie piękne, takie słodkie... po namyśle więc wybrał drogę pośrednią:

— Przyjmuję ofiarowaną mi godność ale pod warunkiem... tak jest, warunkowo... znacie panowie prawdziwie ojcowską dbałość pana radcy dworu i dyrektora o swych podwładnych, otóż obowiązkiem panów jest przedewszystkiem wystarać się o aprobatę kasy przez pana dyrektora...

Delegaci spojrzeli na siebie z pewnem zakłopotaniem. Iść do samego pana dyrektora, do wszechwładnego pana, który zapewne nie raczy mówić z nimi, urzędnikami ósmej, dziewiątej i dziesiątej rangi; przestąpić mają próg biura, do którego z obawą idą urzędnicy siódmej i szóstej rangi... a jeśli będzie w złym humorze, albo też będzie mu dolegało coś fizycznego...

Gierliczowi błysła myśl zbawcza, skłoniwszy się zatem, zaczął:

— Życzenie pana inspektora było właściwie naszym życzeniem... i właśnie dlatego udaliśmy się do pana inspektora, że będąc w ciągłej styczności z panem dyrektorem, zechce we właściwej porze i formie poprzeć naszą sprawę przed panem dyrektorem.

Frazes: „w ciągłej styczności z panem dyrektorem“ był tak miłym i tak pochlebiał panu inspektorowi, że postanowił zrobić próbę i osobiście przedstawić rzecz dyrektorowi.

— Moi panowie, nigdy z zasady nie usuwam się od służby publicznej i chcąc dać dowód panom, jak wysoko cenię wasze zaufanie, będę dziś jeszcze u pana radcy dworu i poprę waszą sprawę.

— Dziękujemy najserdeczniej panu inspektorowi — i szykowali się już do odejścia.

— Jeszcze słowo! — zawołał pan inspektor.

— Słuchamy — skłonił się Gierlicz.

— Proszę o statuty kasy, bo może być w nich coś, co sprzeciwia się porządkowi oficjalnemu.

— Oto są — podał Gierlicz — a kiedy pan inspektor każe nam się stawić?

— Po godzinie drugiej... statuty przejrzy i powiem rezolucję pana radcy dworu.

Skłonili się, wyszli, a na kurytarzu, gdy już minęli woźnego, rzekł Gierlicz z uśmiechem wyższości:

— A co?! Wziąłem go!... Dureń jakiś, odsyła nas do dyrektora, a idź sam, od tego kłaniamy się tobie... czy nie było sprytnie!

— Bardzo... lecz jeśli dyrektor odmówi? — zauważył jeden z delegacji.

W tem to już głowa przyszłego prezesa — zaśmiał się drwiąco.

O godzinie drugiej znów zjawiła się deputacja, ale już pewniejsza siebie i śmielsza.

Dygnitarz przyjął ich z łaskawym uśmiechem i gładząc krótkie faworyty rzekł:

— Pan radca dworu przyzwolił na założenie kasy, ale zobowiązał mnie, tem samem i panów, że w niczem nie przekroczycie godności urzędników państwowych... Kasa ma być jedynie instytucją finansową, żadnym klubem politycznym, a co dopiero agitacyjnym — zmarszczył brwi surowo.

— Ależ naturalnie, panie prezesie — powiedział Gierlicz z ukłonem.

— Uprzedzam panów, że jako prezes nie pozwolę na żadne uboczne cele, jedynie o statucie może być mowa i to w granicach legalnego porządku.

— Tak jest, panie prezesie i dziwią nas podobne zastrzeżenia; my przecież wiemy, co winniśmy sobie, jako urzędnicy najpoważniejszej instytucji państwowej.

— Hm... wierzę panom, a jeśli o tem wspominałem, to jedynie z tego powodu, że obecnie panuje zaraza krytyki i lekceważenia zasad porządku, ugruntowanego na prawach boskich i ludzkich... W jaki sposób myślicie panowie przystąpić do tej ważnej sprawy?

— Wydamy odezwę komitetu i porozumiewamy